

PAUza

Akademicka

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności
pauza.krakow.pl



ISSN 1689-488X

Rok X

Nr 407-408

Kraków, 21-28 grudnia 2017
pau.krakow.pl

*Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku
życzy PAUza Akademicka*



Bolswert Schelte Adamszoon: *Adoracja Dzieciątka*

wg Petera Paula Rubensa,
ok. 1650, miedzioryt 429 x 320mm,
ze zbiorów Gabinetu Rycin Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie

O konsolidacji uczelni

Poniższy tekst jest kontynuacją mojego wystąpienia na V Kongresie Polskich Towarzystw Naukowych w Świecie pt. *Inteligencja polska w świecie*. Jednym z postulatów, jaki zgłosiłem, mając na myśli poprawę wizerunku polskich uniwersytetów, była ich konsolidacja. Dla przykładu, ponad sto amerykańskich uczelni połączyło się na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Celem było zawsze wzmocnienie takiego nowego uniwersytetu poprzez wzbogacenie oferty edukacyjnej, jakości i wachlarza badań, konsolidację podobnych programów oraz zmniejszenie kosztów operacyjnych, jako że administracja nieznacznie większa od tej obsługującej jedną uczelnię może obsługiwać 2–3-krotnie większą. Połączenia odbywały się najczęściej pomiędzy uczelniami działającymi na terenie dużych ośrodków miejskich ze znaczną liczbą uniwersytetów.

Jeśli spojrzymy na rankingi publicznych (państwowych) uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, to zauważymy, że często im uniwersytet jest bardziej „wszechstronny”, w tym znaczeniu, że oferuje mnóstwo kierunków studiów, tym wyższa jest jego pozycja w rankingu. Przykładami są te najlepsze, a mianowicie: University of California Berkeley, University of California Los Angeles (UCLA), University of Virginia (UVA), University of Michigan Ann Arbor (Michigan), University of North Carolina (UNC) Chapel Hill, College of William and Mary, Georgia Institute of Technology (Georgia Tech) etc. („US News & World Report”, 2017). Na tych czterech pierwszych można studiować prawie wszystko, tzn. wszystkie kierunki humanistyczne, ścisłe, inżynierię, prawo, biznes, medycynę, architekturę, ale też i muzykę, i malarstwo. To się częściowo przekłada na ich wysokie miejsca w rankingu. Dlaczego? Jeśli spojrzymy tylko na cytowalność artykułów publikowanych w najlepszych czasopismach z danej dziedziny, to jest ona nawet setki razy wyższa dla artykułów z zakresu nauk biologicznych w porównaniu np. z artykułami z matematyki. Oczywiście w rankingach obok publikacji brane są pod uwagę badania mierzone w grantach, liczba doktorantów, liczba pracowników przypadających na studenta, etc. Indywidualny naukowiec jest jednak rozpoznawany na świecie głównie, jeżeli nie jedynie, poprzez swoje (cytowane) publikacje; nikt nie zwraca uwagi na to, ani nawet nie wie, jakie miał on/ona pieniądze na badania, choć pieniądze wpływają i na jakość badań, jakie może wykonywać, i na liczbę studentów i pracowników zatrudnionych w zespole.

Można sobie wyobrazić Berkeley, ale też i UCLA, i Michigan, jako uniwersytet „równoważny” wszystkim krakowskim uczelniom połączonym razem. Szczególnie interesująca wśród wymienionych jest Georgia Tech, która jako uczelnia techniczna jest notowana bardzo wysoko, zaraz po „wszechstronnych” uniwersytetach. Jest ona odpowiednikiem polskich politechnik; z krakowskiego podwórka AGH jest do niej trochę podobna w tym sensie, że jest również relatywnie (bo generalnie wszystkie polskie są oceniane nisko) dobrze notowana w międzynarodowych rankingach, choć oczywiście niżej niż „wszechstronne” Uniwersytet Warszawski czy Uniwersytet Jagielloński.

Konkretnie zasugerowałem połączenia następujących uczelni: AGH z Politechniką Krakowską (PK), UJ z Uniwersytetem Rolniczym oraz ASP z Akademią Muzyczną. Poniżej, jako przykład, wskazuję na pozytywne połączenia AGH z PK. Ta pierwsza ma 16 wydziałów, zaś PK 7, z czego cztery są zupełnie inne od tych na AGH. Tak więc po połączeniu nowa

jednostka byłaby bardziej wszechstronna. Jako że pozostałe trzy wydziały PK, a mianowicie mechaniczny, inżynierii elektrycznej i komputerowej oraz fizyki, matematyki i informatyki, są bardzo zbliżone do tych na AGH, byłaby to okazja do wyeliminowania duplikacji nie tylko pomiędzy uczelniami, ale też wielu wewnętrznych; np. AGH ma aż cztery „informatyki”. Po połączeniu, ta nowa uczelnia miałaby około 50 tys. studentów, w przybliżeniu tyle, co Ohio State University, ale znacznie mniej niż Complutense Universidad w Madrycie z ponad 100 tys. studentów.

Konsolidacja może dojść do skutku tylko przy silnym poparciu i zaangażowaniu władz i pracowników uczelni oraz – co ważne – stworzeniu sprawnego zespołu administracyjnego wdrażającego wspomniany proces przed oficjalnym połączeniem i po nim, i kierowanego przez kogoś z dużymi uprawnieniami. Niemniej ważną jest prawną stroną takiego połączenia. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego musi po pierwsze coś takiego umożliwić, a potem zatwierdzić. Ostatnio zaproponowany przez Ministerstwo cel stworzenia uczelni badawczych (inaczej: elitarnych), których odpowiedniki istnieją w każdym stanie USA i na które dany stan wydaje więcej pieniędzy niż na inne działające w tym stanie uczelnie, jest mocnym argumentem za łączeniem uczelni. W szczególności powinny tym być zainteresowane uczelnie, które samodzielnie nie mają szans na stanie się badawczymi, ale byłoby to możliwe po połączeniu się z silniejszą. Wyobrażam sobie również scenariusz, gdzie dwie uczelnie, szczególnie w mniejszych ośrodkach akademickich, każda osobno praktycznie bez szans, po zjednoczeniu się w jedną byłaby uczelnią na tyle mocną, aby stać się badawczą. Przy podejmowaniu decyzji o nadawaniu uczelni statusu badawczej należałoby także uwzględnić sukcesy ich absolwentów zarówno w Polsce, jak i poza nią. Kraków mógłby zostać liderem w skali Polski, jeśli jako pierwszy wykorzystałby ten nowy mechanizm zaproponowany przez Ministerstwo.

Typowe kroki konsolidacyjne stosowane na uczelniach amerykańskich są następujące: rektorzy zaczynają proces, włączając w to pracowników i absolwentów, oraz powołują zespoły robocze; zespoły te oceniają koszty i korzyści połączenia, szacują, jak długo taki proces będzie trwał, oraz zajmują się stroną prawną połączenia. Następuje oficjalne połączenie, równoczesne z ogłoszeniem nowej struktury administracyjnej, w tym rektora i administratora; nowe władze powołują zespół do przygotowania strategii innowacyjnego rozwoju i transformacji uczelni na krótszy i dłuższy okres, np. na 5 i 10 lat. Warto wiedzieć, że proces łączenia, już po oficjalnej konsolidacji, może być dość długi, w przypadku gdy uczelnie mają znacznie różniące się od siebie kultury, jak np. w przypadku łączenia uniwersytetu z uczelnią medyczną. Wiem o tym z doświadczenia trzech uniwersytetów, z którymi jestem bądź byłem związany, a które połączyły się z uczelniami medycznymi. Można by tu skorzystać z doświadczenia UJ, kiedy łączył się ponownie z Akademią Medyczną.

Podsumowując, jestem przekonany, że dojdzie do konsolidacji niektórych krakowskich (i nie tylko) uczelni dla dobra nie tylko ich samych, ale co według mnie najważniejsze, ich studentów. Nie mam też wątpliwości, że urzeczywistnienie tego i innych poprzednio opisanych pomysłów zaowocowałoby poprawą jakości, wizerunku i rankingu polskich uniwersytetów.

KRZYSZTOF J. CIOS

Virginia Commonwealth University
Richmond, Virginia, USA

Patrząc od innej strony

Z zainteresowaniem i pewnym dystansem śledzę dyskusje o habilitacji. Z zainteresowaniem, bo jestem zdecydowanie za utrzymaniem, a nawet podniesieniem poziomu (utrudnieniem uzyskania) habilitacji, a dystansem, bo habilitacji nie mam i mieć nie planuję (w miejscu, gdzie pracuję, nie ma takiego wymogu). I myślę, że właśnie to drugie jest przyczyną tego pierwszego. Otóż w praktyce już teraz w tzw. szkołach prywatnych dominują ludzie o bliskim zera dorobku (dziekanami są doktorzy, czasem magistry), co nie przeszkadza im grać roli „wielkich naukowców”. Gdyby znieść habilitację, ci ludzie niemal natychmiast zostaną profesorami uczelni i zaczną tworzyć teorie, że praca naukowa nie ma znaczenia, a jedynym celem uczelni jest produkcja magistrów (czytaj sprzedaż dyplomów¹).

Tu warto podkreślić, że w powszechnym przekonaniu tak właśnie być powinno. Próba zwrócenia uwagi na wartość dorobku intelektualnego uczelni w najlepszym przypadku spotyka się z obojętnością. I chyba właśnie to zjawisko byłbym skłonny uznać za przyczynę niskich nakładów na naukę. Po prostu, przeciętny Polak nie widzi związku marnego rozwoju gospodarczego kraju (czyt. niskich pensji) z niewielką „produkcją intelektualną” oraz faktem, że z natury rzeczy ta produkcja w przeważającej mierze musi odbywać się na uczelniach. Traktując uczelnie jedynie jako miejsca kształcenia studentów, nie widać powodów do zwiększania nakładów na naukę, a wręcz przeciwnie, z przyczyn oszczędnościowych należy te nakłady ograniczać. Niestety tego typu koncepcje zaczynają być dość konsekwentnie realizowane (podział na uczelnie „naukowe” i „dydaktyczne”).

Z mojego punktu widzenia jest to szkodliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, i może mniej istotne, w tej koncepcji wszelki dorobek intelektualny jest „prywatną sprawą” i nie ma związku z pozycją pracownika. Dlatego już teraz rządzą mną ludzie o niemal zerowym pojęciu o nauce, czego skutkiem jest brak możliwości porozumienia z nimi co do hierarchii ważności zadań. Po zmianie polegającej na likwidacji habilitacji będą to ludzie, za którymi będzie stał argument posiadania „najwyższych stopni (naukowych?)” i praktyczny brak obowiązku pracy intelektualnej jako, że będąc „profesorem doktorem”, czyli mając najwyższy stopień w hierarchii zawodowej, o dalszy rozwój starać się nie trzeba. Warto zauważyć, że podobna sytuacja nastąpiła w szkolnictwie. Tzw. awans zawodowy, mający w zamyśle zmusić nauczycieli do wy-

siłku intelektualnego, został bardzo szybko zamieniony na procedurę wprowadzającą dość uciążliwą ale niezbyt merytoryczną. Drugi i chyba ważniejszy powód jest taki, że już w tej chwili niski poziom dorobku intelektualnego kraju spadnie prawie do zera. Prawie, bo resztkowy rozwój będzie odbywał się na zasadach hobbystycznych. Można się zgodzić, że administracyjny wymóg uzyskania habilitacji utrudnia życie prawdziwym naukowcom, a niespecjalnie przeszkadza karierowiczom. Zniesienie habilitacji spowoduje, że w miejsce tego wymogu wejdą „osiągnięcia administracyjne”, które zależą niemal wyłącznie od lokalnych układów. Tym samym wymóg merytoryczny, ze znaczną składową utrudnień administracyjnych, zostanie zamieniony na wymóg administracyjny z nieznaczną składową merytoryczną. Z czysto informatycznego punktu widzenia zamiana będzie polegać na zmianie systemu „cyfrowego” na analogowy, co zawsze oznacza łatwiejszą erozję systemu. Przeżyłem już podobne zmiany w co najmniej jednym systemie i potrafię sobie wyobrazić, jakie będą skutki tej zmiany. Podsumowując, uważam, że zniesienie habilitacji (i wymogu, by do nadawania stopni było konieczne posiadanie odpowiedniej liczby habilitowanych) spowoduje dalszy szybki spadek wartości rynkowej edukacji i wynikający stąd spadek szacunku dla wykształcenia, a w konsekwencji i finansowania.

Z powyższego jednak nie wynika, że uważam, iż utrzymanie stopni naukowych (łącznie z doktoratem!) było konieczne do podniesienia jakości i ilości dorobku intelektualnego kraju. Jest wiele innych sposobów, by to zrobić. Najprostszy to wymóg odpowiedniego dorobku uczelni. Np. jeden student (prawo do posiadania jednego studenta) – 5 punktów rocznie. Można by to nieco zróżnicować: np. student pierwszego stopnia – 3 punkty, student drugiego – 5, doktorant – 10. I, oczywiście, nieważne, czy punkty „zarobił” dla uczelni student czy profesor². Podobnie, żeby być profesorem, głównym wymogiem powinien być dorobek kandydata. I nie wydawałoby mi się niczym dziwnym, by profesorem mógł zostać ktoś bez matury. Oczywiście, jeżeli ma odpowiedni dorobek³. W rzeczywistości system stopni naukowych jest dobry w tradycyjnych dyscyplinach akademickich. Już w technice sprawdza się umiarkowanie, bo co powinno przeważać – habilitacja czy wykonanie i zrealizowanie bardzo dobrych i nowatorskich projektów? A w dziedzinach artystycznych jest czasem po prostu śmieszny⁴.

JERZY KUCZYŃSKI

¹ Uważam, że głównym sensem istnienia uczelni jest tworzenie kultury narodowej, a kształcenie studentów powinno stanowić działalność uboczną. Inaczej mówiąc, płaca nauczyciela powinna być w dużej mierze traktowana jak stypendium dla twórcy. Twórczość intelektualną uważam za „przemysł strategiczny narodu”, więc i stypendium powinno być wysokie.

² Był kiedyś taki system, że wyniki profesora słabiej wpływały na ocenę instytutu niż wyniki magistra. Nie był to zły system, bo jednak profesorowi łatwiej coś dobrego opublikować niż magistrowi. Warto dodać, że niemal wyłącznie ze względu na większą wiedzę. Przynajmniej w mojej dziedzinie.

³ Odpowiednio do dziedziny. Od razu przychodzi mi na myśl Lech Wałęsa. Jako były prezydent kraju ma odpowiednie kwalifikacje, by być profesorem na naukach politycznych (może kontrowersyjnym, ale ilu „normalnych” profesorów też jest kontrowersyjnych).

⁴ Przypomina to dyskusję prof. Ludwika Sempolińskiego z jakimś „prawdziwym” profesorem. Miał on w tej dyskusji stwierdzić: „Pan jest prawdziwym profesorem, a ja nim jestem tylko dlatego, by Łazuka mógł zostać magistrem”. Przy całym szacunku dla osiągnięć zawodowych ludzi kabaretu, sens tej wypowiedzi jest oczywisty. Po prostu, literalne przenoszenie nawet bardzo dobrych systemów hierarchii zawodowej do innych dziedzin nie przynosi dobrych rezultatów, często deprecjonując sam system.

Nie wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma



Zapraszani do udziału w różnego typu inicjatywach międzynarodowych i sieciach współpracy nauczyliśmy się dość pośpiesznie odmawiać, tłumacząc się brakiem czasu lub innymi względami o „obiektywnym” charakterze. Tymczasem łacińska sentencja *absens carens* wydaje się nie tracić na aktualności, o czym przekonał się w ostatnich tygodniach krakowski ośrodek synchrotronowy.

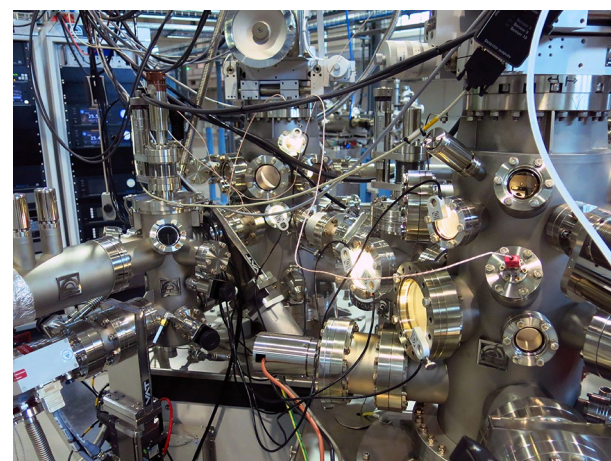
13 listopada br. w Brukseli szesnastce instytucji reprezentujących dziewiętnaście europejskich ośrodków badań podpisało porozumienie powołujące do życia Ligę Europejskich Źródeł Światła Opartych na Akceleratorach (*The League of European Accelerator based-Photon Sources* – LEAPS).

Wśród sygnatariuszy umowy znalazł się prof. dr hab. Marek Stankiewicz, dyrektor Narodowego Centrum Promieniowania Synchrotronowego SOLARIS w Krakowie, jako jedyny przedstawiciel krajów z byłego tzw. bloku wschodniego. Dlaczego tylko profesor Stankiewicz? Powód jest jeden – jedyną dużą akceleratorową in-

frastrukturą badawczą w rozumieniu zachodnioeuropejskim (unijnym) w tym regionie jest właśnie synchrotron SOLARIS.

Inicjatorami LEAPS były bardzo prężnie działające ośrodki naukowe. W ciągu ostatnich pięciu lat z infrastruktury badawczej LEAPS skorzystało ponad 24 tysiące użytkowników. Badania prowadzone z wykorzystaniem synchrotronów i laserów na wolnych elektronach przyczyniły się do odkryć nagrodzonych pięcioma Nagrodami Nobla. Dodatkowo pomiary użytkowników komercyjnych pozwoliły na wprowadzenie szeregu innowacji w wielu dziedzinach przemysłu.

LEAPS wyróżnia jeszcze jedno: jej pomysłodawcy potrafią mówić językiem, do jakiego przywykli unijni decydenci. Promowany cel strategiczny inicjatywy to stworzenie możliwości prowadzenia w instytucjach partnerskich badań, które przyczynią się do rozwiązania najbardziej palących problemów współczesnego świata oraz wzmocnią pozycję konkurencyjną Europy wobec innych podmiotów globalnej gospodarki. Takie deklaracje chcą słyszeć unijni przywódcy i urzędnicy. Wpisują się one we wszelkie strategie rozwoju Unii Europejskiej.



Stacja badawcza XAS w NCPS SOLARIS



Wnętrze tunelu pierścienia akumulacyjnego w NCPS SOLARIS

Nie dziwi zatem, że na uroczystość podpisania umowy założycielskiej przybyli wysocy rangą pracownicy Komisji Europejskiej, odpowiedzialni za politykę naukową.

LEAPS zakłada bowiem ścisłą współpracę partnerów w szeregu obszarach. Podjęte zostaną działania na rzecz udoskonalenia technologii akceleratorowych źródeł światła, technik eksperymentalnych, detektorów i systemów kontrolno-pomiarowych. Palącą potrzebą jest rozwój technologii informatycznych związanych z gromadzeniem i przetwarzaniem ogromnych ilości danych, jakie generowane są podczas pomiarów.

Aby osiągnąć te wszystkie cele, potrzeba pieniędzy. Skąd je wziąć? Odpowiedź jest prosta: z Unii Europejskiej. Zaproszenie na uroczystość unijnych urzędników najwyższego szczebla nie było przypadkowe i zostało skwapliwie wykorzystane przez przedstawicieli LEAPS w celach lobbingsowych. Potrzeby finansowe inicjatywy, a co za tym idzie dużych europejskich infrastruktur badawczych, powinny zostać uwzględnione przy tworzeniu

programów i projektów firmowanych przez Komisję Europejską, w tym przede wszystkim kolejnego (dziewiątego) programu ramowego.

Obecność Centrum SOLARIS w tak elitarnym gronie jest ogromnym wyróżnieniem zarówno dla krakowskiego ośrodka, jak i całej polskiej nauki. Szkoda tylko, iż żadne inne państwo byłego bloku wschodniego nie będzie uczestniczyć ani w działaniach podejmowanych przez LEAPS, ani w dyskusjach, które konsorcjum będzie toczyć w swoim gronie i na szczeblu Komisji Europejskiej, tworząc tym samym podwaliny przyszłej polityki unijnej, a może i współdecydując o tym, gdzie w przyszłości kierowane będą fundusze UE.

Zatem po raz kolejny potwierdziło się, że unijne torty nie zawsze są dzielone na równe kawałki. Często ten, kto ma większy apetyt i umie poprosić o wyjątkową porcję, dostaje więcej. Kluczowe znaczenie ma długodystansowe inwestowanie w budowanie relacji z brukselskimi cukiernikami i krojczymi. Zachęcamy zatem, aby następnym razem zastanowić się dwa razy, zanim odrzucimy czyjeś zaproszenie do stołu. Nawet jeśli w momencie zaproszenia stół ten jest jeszcze pusty.

AGATA CHRZEŚCIJANEK i MICHAŁ MŁYNARCZYK

Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego SOLARIS

Dwa słowa o habilitacji

Dyskusja na temat habilitacji na łamach PAUzy Akademickiej skłoniła mnie do zabrania głosu w kwestii słuszności, bądź nie, istnienia owej habilitacji. Myślę bowiem, że nie ma to większego znaczenia dla jakości nauki – a o to właśnie chodzi w ogólnym rozrachunku. Problem leży zupełnie gdzie indziej. A mianowicie, w braku merytorycznych podstaw rad wydziałów do oceniania kandydatów. To zresztą również problem doktoratów.

We Francji habilitacja istnieje od dawien dawna. Przez bardzo długi czas nie miała większego znaczenia, poza wyznaczaniem progu do pokonania przy dochodzeniu do profesury – podobnie jak dziś w Polsce. Mniej więcej 20 lat temu postanowiono włączyć ją do sytemu pozauniwersyteckiego. Oznajmiono wówczas, że awans z etatu Chargé de Recherche (adiunkt) na Directeur de Recherche (profesor) w instytutach naukowych, takich jak CNRS, INSERM czy INRA (i wiele innych) powinien być następstwem (podkreślam słowo „powinien” – bo nie musi) posiadania owej habilitacji. To skłoniło bardzo

wielu naukowców spoza uniwersytetów do robienia habilitacji (Habilitation de Diriger la Recherche – HDR). W tym czasie starałem się o taki awans i wydawało mi się, że żadnej habilitacji do tego nie potrzebuję. W rozmowie z Julesem Hoffmanem, który kilka lat później otrzymał Nagrodę Nobla, dowiedziałem się, że bez habilitacji nie mam czego szukać w komisji CNRS nadającej tytuły Directeur de Recherche – Jules był wówczas jej przewodniczącym. Nie zadawałem więc wielu pytań tylko w try miga zrobiłem habilitację. Napisanie rozprawy nie zajęło mi wiele czasu, bo już miałem gotowe dossier na stanowisko Directeur de Recherche. Sama obrona okazała się przyjemnością intelektualną. We Francji, w przeciwieństwie do Polski, publiczna obrona habilitacji (podobnie jak obrona doktoratu) odbywa się przed komisją złożoną z 5–6 specjalistów z dziedziny kandydata, a nie przed całą radą wydziału, która w 90 procentach nie jest w stanie wejść w merytoryczną dyskusję z kandydatem, a w 100 procentach nie jest w stanie się do tego przyznać.

Tu jest pies pogrzebany.

JACEK Z. KUBIAK
CRNS
Université Rennes

Dekomunizatorzy

W numerze 405 „PAUzy Akademickiej” profesor Roman Duda, wyraźnie poruszony, zaprotestował przeciwko wpisaniu przez IPN Stanisława Kulczyńskiego, sławnego rektora Uniwersytetów Lwowskiego i Wrocławskiego, na listę dekomunizacyjną, czyli listę – w intencji autorów – domniemyanych uczestników bliżej nieokreślonych przestępstw reżimu komunistycznego (co on właściwie złego zrobił?). Zasadność oburzenia profesora Dudy jest bezdyskusyjna, pytanie tylko, czy wystarczy, gdy będziemy równie jak on oburzeni. To nie jest odosobniony, lecz najbardziej drastyczny przypadek pomówienia człowieka prawego i zasłużonego. Jaka powinna być adekwatna reakcja na działanie ekipy IPN, instytucji formalnie naukowej i mającej uprawnienia sądu (lecz od jej decyzji odwołać się nie można, czyli policjant, prokurator i sędzia w jednym, tylko obrońcy i kata brakuje)? Co sądzić o wydawaniu wyroków na podstawie niefrasobliwie – mówiąc najogólniej – dobranych dokumentów, równie niefrasobliwie interpretowanych? Jak ocenić ludzi skazujących za samo kontaktowanie się z komunistami? (Rotmistrz Pilecki też się z nimi kontaktował – przecież samobójstwa nie popełnił). Wskazówką jest wydarzenie z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, którego bohaterem był pewien stołeczny aktor. Wydarzenie to było głośne

w kręgach teatralnych i jego bohater jeszcze długo później zaklinał się na wszystkie świętości, że było inaczej niż to opowiadano. Ta kwestia jest bez znaczenia, bowiem nie o tego konkretnego człowieka tu chodzi. Istotne jest, że anegdota ta, prawdziwa czy nie, pokazuje adekwatną reakcję na niewłaściwe postępowanie. Otóż aktor ów chałturzył seryjnie w reklamach telewizyjnych, które wtedy były dużo gorsze i prymitywniejsze niż dzisiaj. Po kilku latach takiego życia zapragnął zagrać w poważnej sztuce w teatrze. Na jednej z prób przedstawienia, w którym miał wystąpić, pojawił się na widowni Tadeusz Łomnicki, uważany za jednego z najwybitniejszych aktorów ostatniego półwiecza, i uważnie przyglądał się grze tego aktora. W przerwie przywołał go skinieniem ręki do siebie i scenicznym szeptem, tak by było go słychać w całej sali, zapytał, „Kto ci żłobie dał dyplom?” Jak przystało na wielkiego artystę, Łomnicki użył określenia adekwatnego do oceny jakości gry tego aktora, określenia, którego nie ośmieliłbym się zacytować tutaj i które zastąpiłem nader łagodnym „żłobem”.

Czy jakiś historyk uniwersytecki powie głośno, że wstyd mu za niektórych spośród wypromowanych przez niego ludzi? Wstyd za wystawienie dyplomu ewidentnym nieukom.

LESZEK M. SOKOŁOWSKI
Uniwersytet Jagielloński
Obserwatorium Astronomiczne

Obrazy Andrzeja Okińczyca w Collegium Chemicum UAM

ANDRZEJ JAJSZCZYK

Nowy gmach Wydziału Chemii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu stał się w ostatnich latach miejscem, w którym studenci, pracownicy, a także goście mają okazję obcować z dziełami współczesnej sztuki. Najnowsza wystawa, otwarta 10 listopada 2017, to „Parawany” znanego poznańskiego artysty Andrzeja Okińczyca. W głównym holu, na wielkiej białej ścianie wisi dziesięć prac z tej serii. Miałem okazję już je widzieć wcześniej, zarówno w niewielkiej pracowni artysty jak i na dużej monograficznej wystawie w Muzeum Narodowym w Poznaniu w 2012 roku. Ale o ile w Muzeum Narodowym parawany były elementem instalacji w przestrzeni sugerującej plażę, to teraz wiszą na płaskiej ścianie, po prostu jak obrazy. Efekt jest mimo to znakomity. Po pierwsze dlatego, że to świetne prace, zarówno sam ich pomysł, jak ich perfekcyjne wykonanie, a po drugie z powodu tego, że wprowadzają do wielkiego uczelnianego wnętrza powiew lata w środku późnej i przynębiającej jesieni. Umieszczenie tych intrygujących w swojej prostocie prac na terenie uniwersyteckiego budynku dydaktycznego to wyśmienity sposób na zainteresowanie współczesną twórczością tych, którzy nie wpadli dotąd na pomysł przekroczenia progu galerii sztuki.

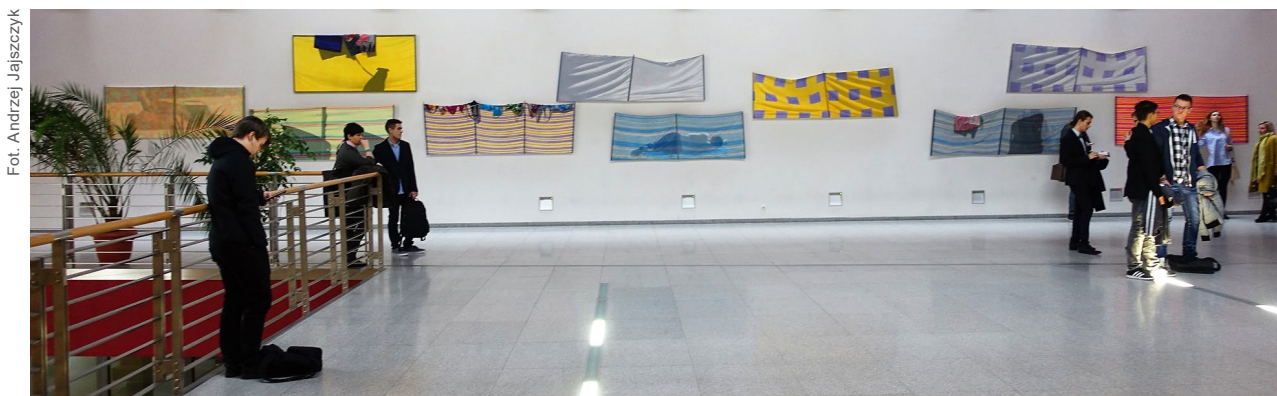
Seria „Parawany” dobrze wpisuje się w nieportretową część twórczości Andrzeja Okińczyca. To prowokująca gra z ludzkim zmysłem wzroku, eksperymenty z materiałami i formatem prac, a także częsta anegdota. To także własna droga w sztuce, niepróbująca wpisać się w aktualne mody. Gdy patrzymy na malowane parawany, aż trudno uwierzyć, że powstały na płaskich, chociaż na



Fot. Andrzej Jajszczyk

„Parawany” Andrzeja Okińczyca w holu Collegium Chemicum UAM w Poznaniu

Parawan stał się ostatnio symbolem naszej terytorialności i zamknięcia, a także po prostu niestandardowych zwyczajów plażowych. Rozbawił mnie komentarz jednego z widzów do pracy „Parawan 11”, której elementem jest



Fot. Andrzej Jajszczyk

„Parawany” Andrzeja Okińczyca w holu Collegium Chemicum UAM w Poznaniu

ogół nieprostokątnych podobrazach – efekt ich trójwymiarowości jest kapitalny. Wrażenie autentyczności jest pogłębione przez narzucenie na niektóre parawany, tym razem już rzeczywiście trójwymiarowych, akcesoriów plażowych, jak kostiumy kąpielowe, spodenki czy ręczniki. Wspomniane elementy również zostały artystycznie przetworzone przez ich pomalowanie. Parawany ożywają także przez pojawiające się na nich cienie, czy to pilnującego parawanu psa, czy też prześwitujących zza tkaniny ludzi. Część parawanów błyszczy jasnym, letnim światłem – to skutek użytej do ich malowania fosforyzującej farby. Oczywiście jest i anegdota – nie sposób oderwać parawanu od toczącej w mediach dyskusji o istocie polskości, również w tym bardziej przyjemnym wymiarze.

siedem damskich strojów kąpielowych narzuconych na plażową osłonę, z sugestią by zatytułować ją: „Wakacyjne trofea”.

Warto zauważyć, że to już czwarta wystawa Andrzeja Okińczyca w tym miejscu. Pierwsza odbyła się w marcu 2013 roku, a druga wkrótce potem. Tematem pierwszej były przedstawienia łąk i wody, a drugiej – trawy. W obu artysta także eksperymentował z trójwymiarowością, podobnie zresztą jak i na kolejnej wystawie, zorganizowanej dwa lata później. Przy czym, gdy dwie pierwsze ze wspomnianych wystaw koncentrowały się na materii „miękkiej”, jak łąki albo woda, to trzecia zawierała głównie prace „twarde”, obrazujące zastygłą ławę czy skamieniałe, obumarłe części roślin. Pierwsze wystawy

► raczej kojarzyły się z życiem, podczas gdy trzecia – ze śmiercią. Obecna wystawa – to już pełen powrót do radosnej egzystencji.

Wymienione wystawy to nie jedyny ślad zostawiony przez Andrzeja Okińczycza w Collegium Chemicum UAM. Warto zajrzeć do sali Rady Wydziału, gdzie wisi sześć znakomitych portretów dziekanów Wydziału Chemii pędzla tego samego artysty. Portrety to jego drugi, znaczący obszar działania. W twórczości portretowej podziw wzbudza nie tylko jakość samych obrazów, ale także dobór portretowanych osób. Są wśród nich tak znane postacie, jak premier Tadeusz Mazowiecki, prezes PAU prof. Gerard Labuda, prezes PAN prof. Andrzej Legocki, prezes Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzej Rzepliński, bohaterska Irena Sendlerowa, historyk sztuki i prezydent Krakowa prof. Jacek Woźniakowski, aktor Adam Hanuszkiewicz oraz dyrygent prof. Stefan Stuligrosz.

Inną znaną specjalnością Andrzeja Okińczycza są obrazy naśladowujące luźno zwisające tkaniny. Trzeba przyznać, że robi to znakomicie: iluzja przestrzeni w płaskich obrazach, jak na przykład w *Draperii* z 2006 roku czy *Draperii IV* z roku 2004, jest całkowita. Ale są i prace, w których pofałdowane jest samo podobrazie. Wymieszanie jednych i drugich stanowi dobrą okazję do porównania podobnych efektów uzyskanych różnymi technikami i do refleksji nad zawodnością ludzkich zmysłów.

Nasuające eschatologiczne myśli draperie Artysty widziałem pierwszy raz na krakowskiej wystawie Andrzeja Okińczycza w Arsenale Muzeum Książąt Czartoryskich w grudniu 2003 roku.

Andrzej Okińczycz urodził się w 1949 roku w Poznaniu. Poznańską Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych) ukończył w 1973 roku. Do 1987 roku pracował na macierzystej uczelni. Swoje prace prezentował na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Zdobył m.in. Grand Prix Trzeciego Ogólnopolskiego Triennale Portretu Współczesnego w Radomiu w 1984 roku. Jego prace znajdują się w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu i Krakowie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Okręgowego w Radomiu oraz Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także w wielu polskich i zagranicznych kolekcjach prywatnych. Był twórcą wielu wystaw prac innych artystów. W Muzeum Narodowym w Poznaniu aranżował m.in. wystawy: *Jerzy Nowosielski* (1993), *Henryk Tomaszewski – plakat* (1993), *Nieskończony kolor. Malarstwo Artura Nachta-Samborskiego* (1999), *Gustaw Gwozdecki 1880–1935* (2003), *Od Picassa do Warhola. Grafiki mistrzów 1964–2003* z Marlborough Gallery w Nowym Jorku (2004) czy *Michel Bouvet. Plakaty* (2005).

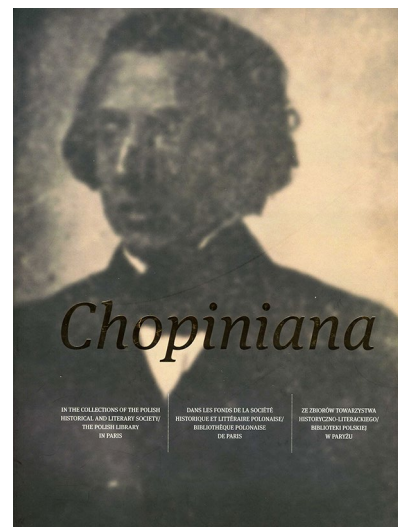
ANDRZEJ JAJSZCZYK
Katedra Telekomunikacji AGH

Wydawnictwo PAU poleca...

Wydany w trzech językach (angielskim, francuskim i polskim) album pt. *Chopiniana*. Na ponad stu kolorowych fotografiach pokazano związane z postacią Fryderyka Chopina eksponaty ze zbiorów Towarzystwa Historyczno-Literackiego/Biblioteki Polskiej w Paryżu. Są tu m.in. portrety Chopina i związanych z nim osób (jak George Sand czy Maria Szymanowska), maska pośmiertna i odlew dłoni Chopina, rękopisy, medaliony, dedykacje itp.

Chopiniana

Paris 2010



PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Z naszych projektów...

Nowe grafiki i fotografie na platformie PAUart.pl

Na platformie PAUart, poprzez którą udostępniane są w domenie publicznej bogate zbiory ikonograficzne Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk, przybyło w bieżącym roku 2800 nowych obiektów. Prace odbywały się w ramach grantu, dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Fundacji Lanckorońskich.

Na uwagę zasługują zwłaszcza unikatowe fotografie ze Zbiorów Specjalnych, dokumentujące działalność krakowskiego Oddziału Konnego TG „Sokół” oraz I wojnę światową i Legiony Polskie, z kolekcji Kazimierza Hałacińskiego i Jana Gaździckiego. Ciekawym źródłem są także zdjęcia ze spuścizny Zygmunta Lasockiego (1867–1948), działacza ruchu ludowego, pośła i dyplomaty okresu II RP, oraz prof. Walerego Goetla (1889–1972) ze zbiorów Archiwum Nauki



PAN i PAU w Krakowie. Ilustrują one działalność naukową i zainteresowania badawcze tego znanego geologa, ekologa i paleontologa. Wśród udostępnionych dzieł pochodzących z Gabinetu Rycin PAU przeważają grafiki polskich autorów, m.in. Jeremiasza Falcka, Daniela Chodowieckiego, Maksymiliana Fajansa, Jana Zachariasza Freya i Władysława Skoczylasa. Z kolekcji Karola Lanckorońskiego, mającej charakter archiwum wizualnego polskiego i światowego dziedzictwa kulturowego, udostępniono głównie fotografie przedstawiające zabytki, dzieła sztuki i rzemiosło artystyczne Francji i Włoch.

Ogółem, w ramach trwającego dwa lata projektu (2016–2017), opublikowano 4500 nowych grafik, fotografii, pocztówek, rysunków i akwarel, a także zdigitalizowano i udostępniono na stronie macierzystej PAU oraz platformie Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej wydawane w Polskim Instytucie Historycznym w Rzymie czasopismo „Antemurale” (28 t.) i „Elementa ad Fontium Editiones” (76 t.), zawierające źródła do dziejów Polski rozproszone po archiwach zagranicznych.

Korespondencja utracjusza

Zbiory rękopiśmienne Polskiej Akademii Umiejętności wzbogaciły się w 2017 r. o obszerną korespondencję hrabiów Szembeków z podkrakowskiej Poręby Żegoty, wywodzących się z galezi podolskiej tego rodu. Ponad 1900 listów powstałych w 2. połowie XIX wieku dotrwało do naszych czasów w doskonałym stanie, mimo iż po II wojnie światowej znajdowały się w Afryce, w rękach Kazimierza Mycielskiego, a następnie w Kanadzie, kiedy to odziedziczyła je Anna z Mycielskich Cieńska. Do Polski wróciła za sprawą Piotra Mycielskiego, męża Róży Skarbek-Borowskiej, ojca Elżbiety Łastowieckiej i Marii Elżbiety Mycielskiej, które z pełną świadomością wartości historycznej korespondencji, zdecydowały się przekazać ją za przyczyną prof. Pawła Taranczewskiego do zbiorów PAU, aby po uporządkowaniu i skatalogowaniu mogły służyć badaczom.



Inicjatywę wsparła finansowo, za pośrednictwem Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, Fundacja BGŻ BNP Paribas z Warszawy, która w swojej szerokiej działalności na rzecz edukacji i solidarności społecznej, podjęła również działania z zakresu ochrony dziedzictwa kulturowego. Za osobiste zaangażowanie podziękowania zechcą przyjąć: prezes Fundacji, Pani Małgorzata Zdzienicka-Grabarz, Pani Kinga Pańczyszyn oraz prezes Towarzystwa – Pani Prof. Elżbieta Pyza, Pani Anna Michalewicz, Pan Oktawiusz Kacza i Pan Sławomir Brzózka.

Osobne podziękowania kieruję do rodziny Łastowieckich, która przez ostatnie 20 lat opiekowała się listami. To cenny i interesujący dar, gdyż korespondencja zawiera głównie listy do jednego z najbardziej znanych w Krakowie w 2. połowie XIX wieku lwa salonowego, bawidamka, karciarza i utracjusza – hr. Zygmunta Szembeka, syna Józefa i Józefy z Moszyńskich, męża Klementyny z Dzieduszyckich. Obyty towarzysko, uchodzący za „światowca” Szembek, podobnie jak jego ojciec, często podróżując po europejskich uzdrowiskach, prowadząc hulaszczy tryb życia, a nade wszystko oddając się hazardowi, obficie czerpał z podolskich dóbr Moszyńskich.

Nieznana dotychczas historykom kolekcja, dotyczy głównie spraw rodzinnych, majątkowych i towarzyskich hr. Szembeków. Przeważają listy z kręgu przedstawicieli bliższej i dalszej rodziny, oprócz różnych członków rodu, np.: Cieńskich, Czarnomskich, Czaykowskich, Dzieduszyckich, Głębockich, Jurjewiczów, Olszowskich, Moszyńskich, Pusłowskich, Rostworowskich. Korespondencja pozwala także nakreślić krąg towarzyski, do którego należeli członkowie arystokracji, m.in.: Czartoryscy, Lubomirscy, Ostrowscy, Potoccy, Sapiehowie. W Porębie Żegoty bywali także znani malarze realizujący zamówienia na portrety, tj. Tadeusz Ajdukiewicz i Kazimierz Pochwalski. Odnaleźć można również listy od pracowników majątków ziemskich Szembeków, tj. Michała Bobra, Seweryna Harkana oraz leśniczego i myśliwego w Tuligłowach i Woli Węgierskiej pod Pruchnikiem, Mitrofa Przedromirskiego, który posługiwał się gwarą z okolic Jarosławia. Do najciekawszych odkryć należą dwa listy Henryka Sienkiewicza z lat 1893–1894, w których Noblista wymawia się chorobą od spotkania z Zygmuntem Szembekiem w Nicei i Lugano, zapewniając równocześnie o przyjaźni, życzliwości i poważaniu dla hrabiego utracjusza.

JOANNA M. DZIEWULSKA